

# Dodatek do „Gazety Narodowej” z dnia 29. Stycznia 1899.

## W sprawie myt.

Piszę nam:

Pragnę jeszcze kilkoma uwagami dopełnić artykuł mój w odpowiedzi panu G. G. prześlany, a to tem bardziej, że szanowny mój przeciwnik w zapatrywaniu się na myta drogowych, nie swalczając wcale motywów przesennie przytoczonych, przeciw utrzymaniu myt drogowych, pragnie jednak myta te zachować z powodów oszczędnościowych. Pan G. G. twierdzi, że gdyby chodziło tylko o myta już istniejące, w takim razie nie przemawiałby za ich utrzymaniem, ale chodzi mi jeszcze o fundusze na utrzymanie dróg obecnie i w przyszłości pomnażać się mających, a nie widzi możliwości zwiększenia dodatków do podatków i tak już zbyt ciężko gminy obciążających. Otóż jeśli przyjmujemy motywy przesennie przytoczone, a dowodzące że gatunek większości towarów w kraju, bitymi drogami przewożonych, dla swej wielkiej wagi przy tanioci produktu, nie znosi śladnych dopłat, jakie licznie rozrzucone rogatki do transportu dodają, w takim razie ten sam powód sprzeciwia się utrzymaniu dotychczasowych myt, jak i tembardziej zwiększenia ich w przyszłości. Jeśli dalej do wiódłem, a zdaje mi się każdy tego z łatwością rozumowaniem dojść, że ludność co najmniej dwa razy tyle za myta opłaca, ile do has drogowych się dostaje, to już tan sam względem nieekonomiczny nakazuje, szukać innego praktyczniejszego środka zdobycia funduszy drogowych. Pan G. G. nie chce i słuszenie, zwiększać dodatków podatkowych, stoli gotów — jak pisze — skłonił głowę przed tym, kto znajdzie inny sposób i wówczas zgodzi się na zniesienie myt. Wszelako, nie podoba mi się rażony przesennie projekt opłacania rocznie od każdego oswary rok liczącego konia w kraju po koronie, bo twierdzi, że to dla niektórych tylko byłoby korzystane.

Wszakże saszczęłem się, że nie mam pretensyi przygotowania projektu ustawy i aż nadto dobrze rozumiem, że przed stawianiem takiego wniosku potrzebny byłby przeprowadzić studia ocale nad ilością i jakością dróg kraju, korzyścią z myt osiąganą, wysokością potrzebnej kwoty, do utrzymania dróg tych i wreszcie najsprawiedliwszem rozłożeniem opłat na korzystających z dróg. To pewnie, że bez wyszukania jakiegoś źródła dochodu, zastępującego myta, niepodobny byłoby ich znosić a pomimo to drogi mnożyć i dobrze je utrzymywać.

Ze jednak to ostatnie jest potrzebnem, a myta i nieekonomicznie w dwójnasób opodatkowują opłacających je i stanowią zapórę rozwojowi przemysłu i handlu w kraju, to przecież wskazaniem jest szukać innych sposobów, a tego właśnie i ja pragnę.

Co do opłat od konia pobieranych, jest to więć tylko jedna z myśli przesennie rzuconych, która mogłaby uleść modyfikacyom i saszczęłem takim np. jak uwolnienie od opłat pewnych koni, wojskowych dajmy na to, utrzymywanych stale w takich miejscach,

które znaczniejsza odległość od dróg bitych oddziela i t. p. Przytem mogłaby być opłata jakaś nałożona na trudniących się przewozem po drogach, na przemysłowców wywożących więcej niż przeciętny roczny produkt, przez masowe zakupna lasów i t. d. Wreszcie i inne ciągle, jak woły, muły, osły, albo też motory jak samochody, obecnie wyrabiające się za granicą, mogłyby być opodatkowane, a ciężar tego opodatkowania i właściwiej byłby wybierany i nie takby się uocuwać dawał jak myta i nie przepadałby w rękach próżniących mytników w połowie.

Słuszenie pan G. G. przewiduje potrzebę wzmagającej się budowy nowych dróg powiatowych i mostów, bo choć w porównaniu z Królestwem Polskiem, a tembardziej z Woliyniem, Podolem i Ukrainą, że już nie mówię wcale o Litwie, stan dróg naszych jest lepszym, to w porównaniu z drogami Zachodu, wiele jeszcze pozostawia do życzenia, a krajowi naszemu przybytku tego potrzeba.

Da się to tem bardziej jeszcze uczuć obecnie, przy wprowadzaniu w życie dróg gminnych I-ej i II-klas, z którymi dotychczas autonomia nasza dostatecznie się jeszcze nie zapoznała. Fundusze zbieraue z 10%, dodatku od podatków gruntowych, choć dość dotkliwie agraryuszom uczuć się dały, nie wystarczą na utrzymanie tyłu dróg I-ej klasy ile by ich ze względu na potrzeby i prawa opodatkowanych w każdym powiecie przysądzić trzeba. Z funduszy tych bowiem wydzielili będzie potrzeba część na zasiłki gminom do dróg II-ej klasy i na mosty tychże, a wreszcie na drożników, a wtedy pokaże się, że zaledwie mała część najważniejszych komunikacyi drogowych da się utrzymać w I-ej klasie. To też ja przynajmniej mniemam, że ów podział dróg gminnych na klasy, okazał się tylko etapem, z którego będzie potrzeba za pomocą nowej noweli i nowych dopłat, co za tem idzie, przejść do przyjęcia dróg do I-ej klasy wyznaczonych na drogi powiatowe. Tylko drogi słabej miejscowej frekwencyi i sielskie, pozostaną na utrzymaniu przez gminy szarwarkami, z małą zapomożą pieniężną z 10%, dodatków na mosty. Wzmoczenie zatem dróg u nas i ja przewiduję również z panem G. G., ale nie widzę możliwości w zaprowadzeniu nowych myt dla nich, gdyż sama już ilość rozrzuconych w tym celu rogatk, pomijając, najważniejsze uprzednio przytoczone powody, byłaby nie do zniesienia dla ludności.

Trzeba więc koniecznie szukać nowych źródeł dochodu, pomimo całego przepodatkowania że tak powiem ludności, a tylko musimy szukać takich źródeł, które najmniej opodatkowanie przytłumi. Gdyby to było możliwem w użyciu na te cele, tobym wskazał jeszcze jedno, mało dotąd w Austrii opodatkowane źródło, a tem jest wszelki zbytek, wszelki luksus w życiu; opodatkowałbyśmy Polaków, zamieszkałych bez konieczności zdrowia za granicą, jeżdżących na grę do Monte Carlo, kupujących kosztowne pasaże w Rzy-

mie za grosz z kraju wywieziony, grających o duże stawki w idyotyczne gry hazardowe po klubach, a także spekulujących na giełdzie i loteryach, ale gdy to zbyt trudnem jest do przychwycenia i wreszcie państwo samo nie omissza z czasem luksusowe podatki dla siebie wyzyskać, przeto rzucam myśl opłat koronowych od konia i t. p., pragnąc, by posłowie nasi sejmowi zwrócili uwagę swą na ten mankament w kraju, który się mytami drogowymi nazywa.

Jak już na wstępie poprzedniego artykułu mego wspominałem, wystąpiłem słownie przeciw panu G. G. w przedmiocie myt drogowych, które na razie najwięcej mnie zajmują, wszelako i przeciw jego projektowi polepszenia losu nauczycieli szkół wiejskich, przez dodanie im przez gminy po kilka morgów gruntu, wystąpiłem byłem zmuszony, w oem też i pan Morawski zapatrywania moje poparł.

Pomijając już względy, jak mnie się przynajmniej zdaje niepraktyczne ekonomicznie dla włóścian takiego projektu, zwróciłem głównie uwagę także na sprzeciwianie się takiego projektu względem dydaktycznym. Gdyby nawet taki nauczyciel wiejski posiadał dostateczne budynki i inwentarz żywy i martwy, oraz kapitał obrotowy do prowadzenia gospodarstwa na więcej niż morderze gruntu, toby fizycznie nie miał czasu uczyć dzieci w szkole tej prymitywnej wiedzy, jaka im potrzebna. Że przepisy szkolne wymagają nadto pouczania dzieci przez nauczycieli trochę ogrodnictwa i sadownictwa na wydzielonych im kawałkach gruntu, może to i dobre, choć co do mnie, nie widzę, by się to prócz w wyjątkowych szkołach działo i wątpię, by rozpoznać się z pożytkiem kiedykolwiek mogło. Ma taki nauczyciel wiejski dość nauczycielskiej swej pracy, a działwa wiejska dość przymusu w wysiedzeniu się w szkole, by im się chciało i starczyło czasu na naukę rolnictwa przy nauczycielu, do którego najczęściej przyszedłby zastosować przysłowie „uczyl Piotr Marcina”. Już nawet Niemcy, od których tak chętnie zapożyczamy się w naszych urządzeniach, krytykują podobne nanczanie rolnictwa, czego dowodem artykuł na 35 stronie uru 4 *Illustrierte Landwirtschaftliche Zeitung*.

Bludniki d. 23 stycznia b. r.

Z. Jaroszyński.

## Spółki szkolne.

Amerykańska miejscina, Fountain Creek, dzięki zabiegom i energii jednej kobiety stała się wzorem, który odtąd naśladować zaczęli wszyscy, największe nawet miasta Stanów Zjednoczonych. Miss Chatington założyła tu i utrzymywała własnym kosztem i siłami szkołę dla dzieci poci oboja, która praktycznością swoją przewyższała wszystkie dotychczasowe zakłady nankowe dla dzieci. Fountain-Creek miało w roku 1881 je-

dną tylko szkołę, do której — zwyczajem amerykańskim — uczęszczali chłopcy wspólnie z dziewczętami. Niektórzy uczniowie, dalej mieszkający, by się dostać do szkoły, musieli odbywać codziennie po 15 klm. pieszo, co pociągalo za sobą konieczność zabierania żywności na cały dzień. Szkoła liczyła wówczas zaledwie 50 uczniów i edczuwała niedostatek pod każdym względem. W roku 1889 zarząd szkoły objęła miss Chatington. Zaraz na wstępie działalności potrafiła przekonać rodziców, składających radę szkolną o konieczności przybudowania kuchni, w której przygotowywać byłby można dzieciom pożywienie. Rodzice zobowiązali się nadto, zamiast opłaty szkolnej, dostarczać w miarę możliwości pewną ilość produktów spożywczych, jak chleba, masła, herbaty i t. d. Starsi uczniowie pomagali jej mieli w gospodarstwie. Próba ta dała nadspodziewane wyniki. Dzieci były zachwycone, nie potrzebowały bowiem nadal dzwigać żywności do szkoły. Rodzice przekonali się również szybko o praktyczności pomysłu. Nabywanie produktów w pobliskim San Francisco pozwoliło im na pewne oszczędności. To też miss Chatington zwróciła się do rodziców dzieci z propozycją ażeby zamiast produktów składali jej dzienną opłatę na utrzymanie dziecka w wysokości 10 centów amerykańskich. Pomimo tak niskiej opłaty zdołała oszczędna gospodyni zebrać trochę gotówki na zakupno najniezbędniejszych przyborów szkolnych, a głównie 80 akrów gruntu dobrze uprawnego w pobliżu szkoły. Na gruncie tym urządziła gospodarstwo mleczne z 12 krowami, maszynami do przerabiania nabiału i t. d. Przy pomocy kilku kobiet szybko wyczerpała starsze dziewczęta dojenia krów, robienia masła itd. Chłopcy pracowali w wielkim ogrodzie, który dostarczał owoców i jarzyn do codziennego użytku. Dzięki energii i oszczędności nauczycielki, dochody gospodarstwa szkolnego, które liczyło już teraz 180 młodych pracowników obojga płci, wrosłały szybko i doszły w końcu do 5 tysięcy dolarów rocznie.

W dalszym ciągu zakupiła miss Chatington maszyny rolnicze i inwentarz roboty, urządziła 2 warsztaty, jeden dla dziewcząt, a mianowicie pracownię kroju i zycia sukien i bielizny, drugi kowalski i stolarski dla chłopców. W ten sposób dziewczęta opuszczają szkołę jako doskonale gospodynie i szwaczki, chłopcy zaś jako praktyczni rolnicy, obeznani z używaniem maszyn i narzędzi rolniczych.

Miss Chatington nie poprzestała na tem i dążyła do stop iowego rozszerzenia wykształcenia zawodowego uczniów. Niektórzy z członków rady szkolnej byli sami dobrymi rzemieślnikami i ci ofiarowali chętnie swój czas dla nauki innym. M. Potter, zegarmistrz, uczył chłopców robienia drewnianych zegarów ściennych, które miały bardzo wielki odyt. Chłopcy i dziewczęta prześcigali się wzajemnie w przysparzaniu dochodów szkole. Obecnie Fountain-Creek rozporządza najlepszymi maszynami i narzędziami rolniczymi, posiada

najrozmaitsze kolekcye dla nauki fizyki chemii, meteorologii, a nawet teleskop. Dochód urósł do 10.000 dolarów rocznie, co pozwala obniżyć do minimum podatek szkolny, żywić bezpłatnie uczniów i uczennice klas niższych, niezamożnych i dawać dobre wynagrodzenie uczniom, którzy po ukończeniu zajęć pomagają w szkole i warsztatach.

Dodać należy, że miss Chatington nie miała nikogo do pomocy, któryby jej ułatwił zadanie: ona jest jedyną nauczycielką w Fountain-Creek, a mimo to zdołała przy pomocy jedynie uczniów i uczenie od 15 do 16 lat, uczyć 350 dzieci, zapelniających 8 klas, a nadto zarządzać wszystkimi warstatami i doglądać obszernego gospodarstwa. Tak świetne wyniki przypisać należy — rzecz prosta — tylko tej gorączkowej działalności, nieustającej energii i zupełnemu zaparciu się siebie dla dobra drogiego dziecka, jakim odznacza się angielska nauczycielka.

Takimiż przymiotami odznacza się również dr. Monti, który myśli miss Chatington przeszczepił na grunt włoski. Działalność swoją dla dobra maluczkich rozpoczął w małym miasteczku w Lombardyi, Legnano, liczącem około 15 tysięcy ludności, częścią przemysłową, częścią rolniczą. Dr. Monti ośiadł tu na stałe w r. 1895. Przedtem odbywał liczne podróże, podczas których miał sposobność poznać dokładnie braki oświaty w kraju. Prędko też zrozumiał, że główną przyczyną ciemnoty jest ubóstwo ludności, nie będącej w stanie utrzymać szkół. Bezpłatna nawet nauka w szkole nieprzystępna była dla wielu dzieci, zmuszonych od dzieciństwa pomagać rodzicom w robotcie; rodzice zaś w żaden sposób nie chcieli posyłać dzieci do szkoły, nie widząc w tem bezpośredniej dla siebie korzyści. I oto nagle błysnęła drowi Montemu myśl, która pozwoliła mu wkrótce osiągnąć świetne wyniki. Zamawiając w sklepie z przyborami szkolnymi tysiąc kajetów, spostrzegł ku wielkiemu swemu zdziwieniu, że zakupując tak wielką ilość zapłaci tylko trzecią część ceny. Następnie przekonał się, że, kupując przybory te wprost u dostawcy zyskać można 20—40 procent rabatu. Wtedy to przyszła mu do głowy myśl utworzenia stowarzyszenia uczniów celem hurtownego nabywania z pierwszych rąk papieru, kajetów, przyborów szkolnych itd. i dania im w ten sposób możliwości otrzymywania tego o połowę taniej, aniżeli w sklepach z sprzedażą drobiazgową. Udało mu się nadto otrzymać przy zakupie jeszcze ustępstwo 10 proc. na rzecz najbiedniejszych uczniów, tak że mogli dostarczyć im nie tylko przybory szkolnych, ale nawet ubrania. W pierwszym półroczu „spółka uczniowska” zakupiła i rozdała 80 tysięcy kajetów, 750 elementarzy i 1260 podręczników szkolnych, zarabiając na tem na czyste 1806 franków. Nadto otrzymała za 606 franków książek bezpłatnie i ubrać mogła 150 najuboższych uczniów. W następnym już roku zwiększył się znacznie napływ uczniów. Interesy spółki szły tak pomysłnie, że mogła nie tylko zapatrzyć nowo-

42

## SPADKOBIERCY.

Powiesć  
Przez  
W. Heimbürgerową.

(Ciąg dalszy).

— Ty tutaj? — spytał zmęczonym i obojętnym tonem, rzucając kapelus z ręką na biurko.

Zbliżała się z wyoiągniętymi rękami, spokojna uż i pe-na siebie, sądząc, że dość jednego serdeczniejszego słowa, gdy nagle dlonie opadły na dół, a uśmiech zamarł na ustach. Oazy jej spotkały się z zimnemi i ostrymi jak stal oczyma Anta.

— Po co to wszystko? — spytał wznosząc ramionami.

— To nie! — odparła odwracając się ku drzwiom — Dobranoc!

— Nawzajem! — brzmiała spokojna odpowiedź.

„Aha, z takiej beczki zaczynasz?” pomyślała Edyta, głosiła zaś:

— Powieda, czy tylko przez dziś, czy też i jutro samierzasz gród ze mną w mru-

ozka, oem, mówiąc między nami, nie osobiwie ubawisz gości.

— To też nie myślę ich bawid, ani w ten, ani w żaden inny sposób — odparł, zapalając cygaro.

— Co się to znaczy? — spytała doprowadzona niemal do rozpazy, tym jego chłodem, Edyta.

— To znaczy, że odposiłem telegraficznie wszystkich.

— Co? co? tybys mógł coś podobnego? tyś śmi...

— Tak, ośmieliłem się, a głównie ze względu na ciebie. Chciałem ci choć raz oszczędzić trudu odgrywania komedyi

Cios był tak silny, że Edyta zachwiała się na nogach. Nie sądziła nigdy, że uległy, tający pod jej wzrokiem niewolnik, zmieni się niby cudem w ironicznego, zimnego jak głaz ozłowieka, w którego oczach nic, prócz bezgranicznej pogardy, dostrzedz nie mogła.

— Robisz wielbłąda z igły — rzekła z goryczą, w mniemaniu, że udając obrażoną, wywiesie go łatwiej z granic niepojętego, a tak ją drażniącego spokoju.

— Tak sądzisz? odparł niedbale — bo co do mnie, nie szgadzam się z tobą. Jeżeli ktoś, nie bez trudu i męki, nabył kosztowny dyament, po to jedynie, by przedź lub później przekonać się dotykalnie, że ów drogi mu klejnot był w rzeczywistości prostem jar-

marcznem szkielem, wtedy, ma się rozumieć, doznaje niezbyt rozkosznego wrażenia, lecz radzi sobie jak może, a przedewszystkiem pozbywa się rzeczy, która straciła dlań wartość.

— Czy to ja mam być owem szkielem? — To już pozostawiam twojej przenikliwości.

— Wiesz co mój drogi? Jesteś poprostu śmieśniewe zaszrosny, bo gdybys wiedział o kogo...

— O Waldenberga? Broń Boże, a raczej ani o niego, ani o żadnego innego! Jeszcze wczoraj rano, nie przeczę... ale od dzisiejszego wieczora, nie, chyba pojmujesz sama, że byłoby to wręcz niemożliwe.

— Morały oiotki Józefy rozdrażniły mnie do tego stopnia, że nie wiedziałam sama, co mówię — zaczęła żywo Edyta — ty zaś, gdybys miał więcej rozumu i serca, nie brałbys słów moich w dosłownem znaczeniu, a nadewszystko nie pozabiałbys mnie za nie rozrywki, którą się oieszyłam.

Anto nie odpowiada wprost, tylko po ohwili ciągnie tym samym co dotąd, spokojnym tonem:

— Musisz jednak przyznać, że zbyt jasno i dokładnie wyraziłaś swoje uczucia, ażebym mógł żywić pod tym względem jakkolwiek złudzenia. Nie kochasz mnie i nie

kochałaś nigdy, wszakże tak było, nieprawda Edyto?

— Naturalnie, jeżeliś się uwziął postawić kwestyę na ostru noża... bo za całe sześć lat, jakie spędziłmy ze sobą, nie dałam powodu do najmniejszego zarzutu...

— Istotnie, prócz jednej zbyt ciężkiej winy, mianowicie nieustannie powtarzanego kłamstwa.

— Uwolnię cię zatem od swojej obecności, wyjadę dziś jeszcze z Wartau! Wszystko, lecz nie pozwolę ośmieszać się wobec ludzi! Co sobie pomyśla, co powiedziała to do twoje niedorzeczne odwołanie zabawy? Cała okolica stanie na głowach! Jeżeli zaś mniemasz, że taką właśnie wyrafinowaną przykrością zaimponujesz mi, lub wzbudzisz dla siebie szacunek, toś się grubo pomylił, bo tem więcej nie!

— Nie myślę imponować ani w ogóle zdobywać niczych względów, przeciwnie, projekt wyjazdu uważam za bardzo właściwy i ze wszelkimi miar odpowiedni.

— Czyli innemi słowami, nie możesz już patrzeć na mnie, wypędzasz mnie z domu?

— Broń Boże! Matka moich dzieci zachowa zawsze należne jej względy.

— A twoja żona, Anto? — szepnęła z cicha Edyta.

Podniósł się z miejsca, i rzucawszy jej

pełne niechęci, niemal ze wstrętem spojrzenie, i rzekł:

— Nie mam już żony.

Na to ozawał się krótki, przeraźliwy krzyk, dalej znany mu dobrze atak spazmatycznego płaczu.

Przystąpił do niej i nie mówiąc słowa, położył na szeszlongu, poczem odwróciwszy się do wbiegającej na odgłos dzwonka garderbobianej rzekł:

— Zajmijcie się panią, a gdyby nie było lepiej obudzić baronównę — i ciągle z tym samym, niezmiernie nieporuszoną spokojem, zamknął się w bibliotece. Tu zdala od oczu ludzkich, nie wstydzili się miotającego nim żalu i gniewu, nie potrzebując tłumić ciężkich jak olów palących mu serce łez.

Nazajutrz szaro ołowiane chmury zaciągnęły niebo, Heine wskazywał je wchodzącemu do stajni dziadziowi, rzekł:

— Zdaje się, że dziś czeka nas ztamtąd jakaś niespodzianka... Wnosząc z barometru nie dziwiłbym się nawet trzęsieniu ziemi. Fatalnie wypadło, że to właśnie dziś, bo ani już chyba myśleć o tańcach w ogrodzie.

(C. d. n.)



